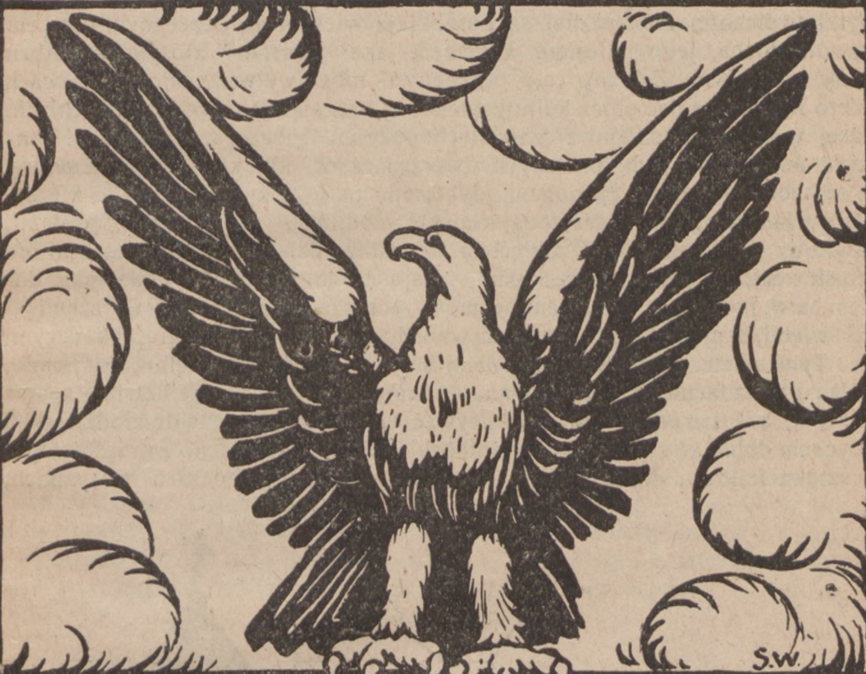
ROK III. Marzec 1922. Nr. 3.

ORLI · LOT ·



MIESIĘCZNIK ·

KRAJOZNAWCZY · ORGAN · KÓŁ · KRAJOZNAWCZYCH · · MŁODZIEŻY · P · T · K ·

WYDAWANY Z ZAPOMOGI SEKCJI OŚWIATY POZASZKOLNEJ M. W. R. I O. P., NAKŁADEM P. T-STWA KRAJOZNAWCZEGO.

PRZEDPŁATA 500 MK., POJEDYNCZY EGZEMPLARZ 60 MK., DLA KÓŁ MŁODZIEŻY P. T. K. 50 MK. ADRES: KRAKÓW, GRODZKA 64. II.

JAN WIKTOR.

Zabytki sztuki ludowej.

Obyczaje, obrzędy, klechdy, śpiewy, opowieści z ogromną skrupulatnością spisywano i w ten sposób uratowano od niechybnej zagłady, natomiast ani etnografowie (mniej powołani do tego), ani malarze długi czas nie zwracali uwagi na przejawy sztuki ludowej.

Praca była jednostronna. Boć jak zwyczaje, obyczaje, pieśni, tak samo zabytki twórczości artystycznej są dorobkiem wieków, są bezcennym owocem porywów ducha, jego uniesień, wzruszeń, jakie przeszłość złożyła w skarbcu kultury narodowej. Zebrany cały bezcenny dorobek we wszystkich przejawach dopiero nam może dać obraz kultury wiekowej, sięgającej czasów zamierzchłych, ginącej w pomroce dziejowej zamarłych pokoleń, ginącej w pogańskich kontynach, świętych gajach, prastarych dworzyszczach, kiedy człowiek pierwotny był otoczony wrogiemi żywiołami, dybiącemi na jego życie, mienie, a z przemożną władczynią — z przyrodą, walczył modlitwą, zażegnaniem, gusłami, jej pioruny panowania tępił zaklęciem, szkodliwe działanie zła unicestwiał nie tylko słowem, ale także „słoneckiem", „utajonem krzyzikiem" — swastyką, doborem barw, rzezaniem. Ornament był mową, poszczególne linje były wyrazami jakiejś świętej, błagalnej modlitwy, którą wnosiły w pokorze bóstwom opiekuńczym.

Tymczasem na jeden tylko odłam zwrócono uwagę, skrzętnie spisywano, chociaż gromadzenie napotykało na ogromne trudności. Chcąc bowiem zebrać wierzenia, baśni trzeba było przełamywać nieufność i naprawdę złodziejskim wytrychem dobierać się do komory chłopskiego serca, na głucho zatrzaśniętego. Zaś sztuka ludowa, dostępna dla każdego, stojąca na oczach wszystkich,



J. Gumowski. Kapliczka przydrożna w Wólce Małkowskiej, pow. Jędrzejów.

długo nikogo nie zaciekawiała, chociaż o wiele łatwiej można było jej zabytki zebrać i chociaż prędzej ulegała zniszczeniu niż legendy, niż wierzenia, które są jakby klejnotami ukrytemi w duszach, które są jakby skamieniełiznami uczuć czasów zamierzchłych, które w czci lud przechowuje. Wierzenia były miłością chronione, ukrywane, przekazywane pokoleniom niemal bez uronienia.

Natomiast zabytkom sztuki ludowej groziły tysiączne zastępy wrogów, obalał je każdy dzień, przewracały burze, szarpały deszcze, pożary, czas i największy niszczyciel — król spustoszenia — tak zwany kulturalny człowiek. Mijały lata za latami, a sztuka ludowa próchniała, rozpadała się, ginęła bez śladu. Nikt nie nawoływał do ochrony. Czasami jeno jakiś wrażliwszy etnograf opisał ciekawszy okaz, czasem jakiś artysta zrysował charakterystyczniejszy zabytek. Pracy ciągłej nie było.

Okres nowy rozpoczyna Podhale. Ta czarowna strona, zagubiona wśród gór i lasów, najdłużej zachowała swe nieskazitelne oblicze wiekowej kultury. Nie narażone było na niszczycielskie działanie tandety miastowej — która, jak kamienie młyńskie, zdoła zemleć, zetrzeć, zniweczyć wszystkie znamiona oryginalności. Toteż Podhale chowało urok i piękno szacowne sztuki ludowej polskiej, która w dolinach zupełnie zmarniała w pogardzie i zaniedbaniu. I to samo mogło się stać ze sztuką podhalańską.

W chwili kiedy groziła jej zagłada, w te strony przybyli artyści, znawcy, ludzie wrażliwi na piękno. Weszli oni do chaty góralskiej jak do muzeum, gdzie każdy sprzęt nosił cechę artystyczną. Uderzeni niepospolitemi znamionami, niepowszednią wartością przejawów twórczości chłopskiej, zajęli się niemi, nie szczędzili sił, zapału aby uratować ich bogactwo, aby ich dorobek wcielić do skarbnicy narodowej. Zrysowali, spisali, oni niejako wynieśli z poniewierki, z dymnej izby, Podhale, jego przeszłość i wnieśli w bramy polskiej sztuki. Witkiewicz uratował dorobek, on proste motywy przetopił w swej duszy i dał nam typ budownictwa, które zajaśniało jako zjawa w szarem życiu. Sztuka podhalańska stała się zdrojem ożywczym. C. d. n.

JERZY DENKER.

SONET.

Chciałbym mieć serce w piersiach wykute z granitu,
płynące śmiało naprzód przez zdradliwe fale,
by krwią swych marzeń walczyć wśród gromów wytrwale
o złoty promień szczęścia z jasnego błękitu!

Chciałbym mieć serce w piersiach wykute z granitu,
któreby w ogniu krwawym, w roznieconym szale
patrzyło okiem śmiało w tajemne oddale,
nie tracąc szczęścia wiosny wśród pierwszego świtu!

Chciałbym mieć serce w piersiach wykute z granitu,
martwe, głuche i nieme na własne swe żale,
serce, któreby tutaj wśród ziemskiego bytu

służyło ludziom w blaskach i w płomieniach stale
i upojenia swego zrzekło się zachwytu,
by innym wskazać jasne, cichych dumań hale!

A. KOZŁOWSKA.

Wycieczka botaniczna do Ojcowa.

Jednem z najpiękniejszych, a zarazem najciekawszych miejsc w okolicach Krakowa jest bezwątpienia dolina Prądnika. Od chwili rozpoczęcia u nas ruchu krajoznawczego dążyły tam wszystkie wycieczki młodzieży pragnącej poznać kraj ojczysty. Liczne te jednak zastępy, zwiedzające rok rocznie dolinę Ojcowską zadowalniają się w zupełności powierzchownemi wrażeniami: obejrzeniem malowniczego krajobrazu, zwiedzeniem paru grot, zamku na Pieskowej Skale, maczugi Herkulesa, na której według podania tylko sokoły siadają; brak tam zupełnie przewodniej myśli, by samodzielnemi obserwacjami zbliżyć się do poznania przyrody żywej, by patrząc na krajobraz rozumieć jego dzieje, długie koleje, przez które przechodzić musiał, nim doszedł do form dzisiejszych.

Starajmyż się być na każdym kroku samodzielnymi odkrywcami, uczmy się widzieć i rozumieć, a nie tylko patrzeć! Jeżeli na wycieczce odsłoni się przed naszemi oczyma choć jedna tajemnica z cudów przyrody, jeśli zrozumiemy choć jedno nowe zjawisko, to wycieczka, ta dała nam więcej niż przeczytanie bodaj grubego nawet podręcznika.

W króciutkim tym referacie pragnę pomódz młodym wycieczkowiczom zbliżenie się do poznania szaty roślinnej skałek nad Prądnikiem.

Wśród ciemnego lasu, pokrywającego strome zbocza spadające ku strumieniom, sterczą gdzieniegdzie białe skałki odżynające się od ciemnego tła. Pójdźmy na jedną z nich. Owa z daleka uderzająca nagość okazuje się pozorną, na kamiennem i suchem podłożu życie wre w całej pełni. Każdą najmniejszą szczelinkę wypełniła rzesza małych gatunków, które walczą z sobą o lepsze stanowisko. W tych ciężkich dla życia roślin warunkach, gdy promienie słoneczne odbite o białą ścianę skałki, pracują niezmordowanie nad wypaleniem szaty roślinnej, a woda deszczowa nie wsiąkając w podłoże spływa po niem w dół, utrzymać się mogły przy życiu tylko jednostki silne, mogące dzięki swej budowie rozwijać się w tej suszy. I oto spotykamy całe kępy rojnika (Sempervivum soboliferum), rośliny o grubych, mięsistych liściach, zebranych w różyczkę, o korzonku tak małym, że na zupełnie nagiej skałce utrzymać się może. Mięsiste liście to magazyny, spiżarnie, gdzie roślina w porze wilgotnej gromadzi sobie zapasy. A oto o krok dalej inny mieszkaniec skałek, trawa kostrzewa (Festuca glauca), skupiona w kępy, liście jej zwinięte w cienką rurkę, pokryte białym nalotem, parują minimalną ilość wody, chronią roślinę przed wyschnięciem.

Jeżeli w ten sam sposób obejrzymy inne zgromadzone na skałkach rośliny, to u każdej z nich spostrzeżemy, broń ochronną przeciw działaniu słonecznych promieni.

Jeśli latem, w lipcu lub sierpniu, pójdziemy zwiedzić jaskinię Ciemną, a w połowie drogi na górę zboczymy na skałkę, z której roztacza się widok na całą Ojcowską dolinę, zobaczymy tam szczególną trawę, pokrywającą to urwisko. Jest to ostnica (stipa pennata) do metra wysoka, kołysze na wietrze, kilkudziesięcio-centymetrowej długości, piękne, piórkowate, strzępione ości, wybiegające z plewki nasienia. Kto pierwszy raz trawę tę zobaczy, zgaduje odrazu, że mamy tu do czynienia z rzadką rośliną, arystokratką wśród otaczającej pospolitej rzeszy. I istotnie przejść możemy duży szmat

naszego kraju, całą wyżynę Małopolską, by tylko pojedyncze na odosobnionych skałkach znaleźć jej okazy. Daleko, na południo-wschodzie jest jej ojczyzna, zacząwszy od okolic Lwowa idąc na Podole coraz więcej jej w jarach znajdujemy. Skąd przeto dostała się aż w dolinę Prądnika?

By odpowiedzieć na to pytanie, szukajmy dalej, czy nie znajdziemy tulących się do skałek innych rzadkości, może towarzyszy owej ostnicy, pochodzących również z Podola. I, o dziwo! znajdujemy w naszej dolinie cały szereg takich gości: małą, o świecących listkach wisienkę stepową (Prunus Chamaerasus), niby puchem otulonego zawilca leśnego (Anemone silvestris) i cały szereg innych.



Ostnica (Stipa pennata).

Przed oczami naszemi przesuwa się dziwny obraz. Przybysze z Wołynia i Podola nie mogły się tu dostać po przez lasy, pokrywające dziś dolinę. W dawnych, zamierzchłych czasach, sterczeć tu musiały nagie skałki i wzgórza, wygrzane słońcem, suche, podobne do tych, jakie spotykamy nad Dniestrem. Korzystając z wyższej niż dzisiejsza ciepłoty, przywędrowali tu goście ze wschodu, rozsiedlili się na wzgórzach, tworząc jednolity step. Nie trwał on jednak długo, przyszła nowa zmiana w dziejach ziemi, ustąpił ciepły okres innemu nieprzyjaznemu. Ciemny las wkroczył w dolinę, wymarł step, tylko jego niedobitki chronią się do dziś dnia, gdzieniegdzie na odosobnionej skałce.

Ta para wyżej wymienionych roślin dała nam możność poznania maleńkiej cząstki z tajemnic, jakie przyroda przed nami kryje. Każdy z nas ma możność i prawo poznania ich jak najwięcej, a droga do tego jedna: Zwróć oczy na przyrodę!

JAN HRYŃKOWSKI.

O drzeworytach ludowych.

Drzeworyt wykonuje się w ten sposób, że na twardej gruszkowej desce rysuje się żądany rysunek, poczem miejsca które na odbitce mają być białe, wyżyna się nożykiem lub dłutkiem w głąb, czarne zostawiając nietknięte. Tak powstałą płytę pokrywa się farbą, kładzie się wilgotny papier, i odciska kostką.

Drzeworyty ludowe często są po odbiciu podkolorowane farbą wodną, ręcznie lub też przez patron. Wyżej umieszczona rycina jest ciekawym za-



Jan Hryńkowski. — Janosik — według drzeworytu ludowego.

bytkiem ludowego rytownictwa, wskazuje na pierwszą połowę XIX wieku. Przedstawia legendarnego zbójnika podhalańskiego „Janosika" w otoczeniu towarzyszy. Lud podhalański osnuł o nim wiele legend i pieśni.

Drzeworyty tak jak obrazki malowane na szkle, wykonane były przez domorosłych artystów, sprzedawane na odpustach i jarmarkach. Większa część ich dostała się do nas ze Spiża i Orawy.

Dziś są one rzadkością, znajdują się w muzeach, i zbiorach prywatnych. Są to cenne świadectwa tkwiących w ludzie naszym sił twórczych, choć może dziś przygasłych, do czego niemało przyczyniło się zalanie nowych rynków przez tandetne olejodruki czeskie i niemieckie.

W ostatnich czasach szereg młodych artystów podjął dalszą pracę nad rozwojem drzeworytnictwa który u nas zdawał się zanikać.



Jan Hryńkowski. — Ucieczka do Egiptu. — Drzeworyt.

SZ. FAKLER.

Pokuśniki.

Z inicjatywy p. prof. Węgrzynowicza wyruszyła grupa uczniów kl. V b, VII gimn. w Krakowie, dnia 28 lutego o godz. 9·30 do Piasków Wielkich, celem wykonania zdjęć z zabawy ludowej t. zw. „pokuśników". Aczkolwiek dzień był piękny, droga była uciążliwa z powodu roztopów wiosennych. Początkowo staraliśmy się wszelkiemi sposobami omijać błota, jednakże ono wszędzie rozpościerało swe panowanie, więc z zupełną już apatją brnęliśmy przez najgłębsze kałuże. Krakowianie skarżą się na wielkie błota w mieście, w porównaniu z bagnami drogi wielickiej są one niczem. Po 15-tominutowym, uciążliwym marszu przybyliśmy do Woli Duchackiej, następnie ujrzeliśmy Prokocim. W drodze pytaliśmy się przechodzących wieśniaków, jak daleko do szkoły w Piaskach, każdy nam odpowiadał, że „haj niedaleko". Do „niedaleko" położonej szkoły przybyliśmy po półgodzinnym marszu. Dyrektora nie zastaliśmy w domu, a w szkole, z powodu braku węgla, nauka się nie odbywała. Wobec tego udaliśmy się do chaty p. Glotówney, nauczy-

cielki tejże szkoły. Tu przyjęto nas nadzwyczaj gościnnie. P. Glotówna wysłała chłopców po „pokuśników".

„Pokuśniki", albo jak ich miejscowa ludność zwie „pokuśniaki" jest zabawą, sięgająca zamierzchłych czasów pogańskich. Odbywa się zazwyczaj w ostatnie dwa dni zapust. Dopytywałem się z jakich powodów odbywa się i co ma wyobrażać zabawa, jednak nie umiano mi odpowiedzieć.

Strój „pokuśnika" jest bardzo prosty. Na twarz wkłada maskę, sporządzoną z papieru. W masce znajdują się otwory na oczy, nos i usta. Nad otworami ocznemi wymalowane są brwi, nad ustami wąsy. Niektórzy mają i brody. Wierzchnia szata „pokuśników jest rozmaita, jedni noszą koszule, przewiązane powrósłem, inni zwykłe bluzy, płaszcze i t. p. Dawniej owijali się niektórzy w słomę i tych zwano „chochołami". Każdy „pokuśnik" trzyma



Piaski Wielkie. — Pokuśniki.

w prawej ręce potężny kij, w lewej koszyk słomiany. Przed wojną bywało, że wszystka starsza młodzież, chłopcy i dziewczęta, przeobraziwszy się w „pokuśników" i przybywszy przed szkołę, straszyła dzieci z niej wychodzące. Dziś przebierają się jedynie dzieci. Nie przesadzę twierdząc, iż za kilkanaście lat zwyczaj ten zaniknie zupełnie.

Sfotografowawszy „pokuśników" i pożegnawszy uprzejmych gospodarzy, ruszyliśmy do domu. Dzięki wskazówkom p. Glotównej szliśmy drogą krótszą tak, że o godz. 2·30 byliśmy już w Podgórzu.

Podjęliśmy się wcieczki w przedświadczeniu, że społeczeństwo nasze a zwłaszcza młodzież gimnazjalna zajmie się żywiej zabawami i zwyczajami ludowemi, które w tak gwałtownem tempie zanikają.

P. Glotównej i Jej Czcigodnej Matce dziękujemy serdecznie za ich prawdziwą staropolską gościnność.

Dr. ROMAN GRODECKI. Ciąg dalszy.

Z przygód narciarskich.

Po blisko dwóch godzinach kończyliśmy śniadanie u Przanowskiego, pakując worki i nagląc prezesa groźbą, że go zostawimy, jeśli się dłużej będzie guzdrał...

Za chwilę jechaliśmy wesoło sankami, w których prezes przez pewien czas jeszcze dogryzał śniadania i kończył wiązać worek. Droga do Kuźnic



Piaski Wielkie. — Pokuśniki.

rozbrzmiewała nowym hymnem narciarskim „o pierwszych nartach", który ułożyłem w przededniu wycieczki:

Przeszło lato, przeszła zima,
Nic narciarza nie zatrzyma
W cichym domku przy kominie,
Choćby nawet przy dziewczynie...

Sprzeda, co ma do sprzedania:
Spodnie, buty i ubrania;
Idzie handel nie na żarty:
Narciarz musi kupić narty!

Kupił narty u Drobnera
I na nogi wnet ubiera,
I natychmiast ćwiczy srodze
„Zwrot alpejski" na podłodze!...

Potem horyzonty szersze:
Zrobił na stół „wyjście pierwsze"...
By wycieczkę skończyć górnie,
Wlazł na szafę, jak na turnię...

Stąd najkrótszą wybrał drogę
Skacząc w nartach na podłogę;
Trochę jękło, trochę stękło —
Lecz w narciarzu nic nie pękło...

Tym sukcesem zachwycony
Ryzykuje krok szalony,
Rwie go bohaterska żądza,
Więc wyścigi sam urządza.

Przez drugiego piętra schody
„Szusem" jedzie do nagrody,
Na zakrętach robi „łuki"
Albo „telemarków" sztuki...

Gdy tak szybki rozpęd bierze,
Złamał narty na parterze...
Trzask! prask! narty połamane!
Narciarz głową zmacał ścianę!

Trzeba było zbierać szczątki,
Jak relikwie, jak pamiątki...
Tak to narciarz nasz zażarty
Ochrzcił swoje pierwsze narty!...

Zamówiwszy sanki na godzinę siódmą do doliny Kościeliskiej, przypięliśmy narty w Kuźnicach, sunąc raźno w górę po niezbyt głębokim, lecz dobrym do zjazdu śniegu. Cudnie oszroniony las przed Kalatówkami przekonał nas, że zima w całej okazałości zaczęła swe królowanie w Tatrach. Czar bajecznego otoczenia odczuwał na swój sposób każdy z nas żywo, więc zatopieni w indywidualnych refleksjach dążyliśmy milcząco naprzód.

Krótki zrazu „wąż" zaczął się nieco wydłużać tak, że przy „odliczaniu" pierwszy nie słyszał ostatniego. Gdyśmy się zatrzymali przy górnych szałasach Kondratowych, okazało się, że „wąż" stracił ogon, bo dwóch ostanich „wyrypiarzy" zabrakło. Oczywiście prezes choćby z racji swego urzędu musiał trochę nawymyślać „na wiatr", bo nie słyszeli go zwymyślani maruderzy. Ale i im się dostało, gdy się zadyszani pojawili po pewnym czasie. Usłyszeli znowu ogólnie przedtem, teraz szczegółowo do nich adresowaną groźbę: „Jeśli będziecie zostawać w tyle, to was zostawię samych, bo cała wycieczka nie może się przez was opóźniać!"

Ale o Tadziu nie napróżno śpiewają pozaocznie ucieszną strofę, że „się na Kasprowym puszy" — wziął i teraz na ambicję, w braku fok sporządził sobie wężlice ze zbytecznych pasków, sznurków i... chustek do nosa i zabezpieczony przeciw ślizganiu się począł wyrywać w górę, by się wnet istotnie przed wszystkich wysforować. Za nim szli herkulesowej budowy Władzio, dalej „malarz", „obszarnik", studjujący bez rezultatów agronomję, agronom, dla odmiany nie posiadający obszarów, ja, Ada i prezes.

Sądziliśmy zrazu, że prezes z przezorności „wysforował się" na sam koniec, by poganiać zapóźnione owieczki. Aliści coraz częściej przystawał jakoby admirując przyrodę. Niektórzy ze znacznej już odległości nie rozróżniając postawy prezesa, przybieranej na przystankach, gubili się w domysłach o ich celu; ostatecznie ja i Ada, jako bezpośrednia asysta idącego z tyłu przodownika, przekonaliśmy się, że poprostu przyszła kreska na Matyska. Prezes, ślizgając się po sypkim śniegu coraz bardziej stromego zbocza na wyskiolinowanych nadmiernie nartach, zmęczył się tem ciągłem potykaniem i ślizganiem, czyli mówiąc gwarą narciarską, trochę „spuchł", opóźniając pochód, na którego szybkości tak mu zależało, że już nas parokrotnie chciał wszystkich zostawić z tyłu, a sam iść...

Szliśmy zboczem Łopaty, prując serpentyną niezbyt głęboki śnieg i zbliżając się zwolna, lecz stale, ku szerokiej Przełęczy Pod Kopą Kondracką. W chwili, gdy Ada poił prezesa niepewnej skuteczności zimną kawą, nalaną jeszcze w Krakowie do flaszki turystycznej przez jego zacną babkę, znudzony wleczeniem się w arjergardzie postanowiłem bez pytania o pozwolenie prezesa, zajętego badaniem zawartości Adowej flaszki, dogonić główny korpus; odległość i znaczna wypukłość stoków góry zasłoniła mi po chwili Adę i prezesa. Uczułem się sam wśród bezmiernych przestrzeni śniegów i powietrza,

upojony dostojną ciszą uśpionej przyrody. Zapomniałem o nudzie, która mnie wczoraj jeszcze męczyła, poczułem, że warto żyć, jeśli po długich dniach szarych może nastąpić parę chwil jasnych i beztroskich.

Pod przełęczą dogoniłem towarzyszy; schronisko zastaliśmy nawpół zasypane śniegiem; pod działaniem jednostronnie wiejącego wiatru uczynił on oryginalną wydmę, oddzieloną od wejściowej strony schroniska dość głębokim zacisznym rowem; tu rozłożyliśmy się celem spożycia południowego posiłku. Machinalnie sięgnąłem do worka, usiłując zdjąć go z pleców; ze zdumieniem jednak nie mogłem odnaleźć pasów od niego pod pachami. Nagle przypomniałem sobie z żałością, że mając wspólny z Adą worek, przeznaczony do noszenia na zmiany przez nas obu, zostawiłem go jemu w chwili odłączenia się!... A teraz — o! tragedjo bolesnej rozłąki! Muzy! pomóżcie mi opiewać pisk zgłodniałego żołądka na widok smażących się na maszynkach cudzych kotletów, dymiących herbat, bułek z szynką i marmoladą, owoców i słodyczy!... Gdy zaś to wszystko zaczęło w przyspieszonem tempie znikać w czeluściach narciarskich gardeł, czułem męki Tantala, klnąc prezesowskie przystanki i żując w zębach jedynego papierosa z żalem, że nie należy do przedmiotów jadalnych.

A prezesa i Ady jak nie widać, tak nie widać! Zjeżdżam kawałek z przełęczy, wołam, krzyczę, lamentuję, zaklinam: napróżno! Gdym wrócił do schroniska, towarzysze kończyli już śniadanie i zabierali się do pakowania worków; wreszcie nadeszli maruderzy. Zerwałem z Ady worek, wydzierając z wściekłością Kuby rozpruwacza jego „wnętrzności", a nadewszystko ów cwibak... Za chwilę i z naszej maszyny dymiło i nasze zapasy znikały w otchłani przeznaczenia.

Cwaniak prezes przegryzł to i owo na zimno, nie zdejmując nart i przed ugotowaniem się naszej herbaty ruszył z całym korpusem na Kopę Kondracką, której szreniasty pancerz lśnił w coraz ukośniej już padających promieniach słońca. Począłem wierzyć w fatalną widocznie konieczność, by stale paru członków wycieczki zostawało w tyle. Gdyśmy zaczęli zaledwo pić herbatę, ustały ostatnie krzyki towarzyszy ze szczytu Kopy, znikły ich sylwetki po drugiej jego stronie. Zostałem sam z Adą, podziwiając przyrodę z pełnemi darów bożych ustami.

Po kilku chwilach oszronioną granią zbliżaliśmy się ku szczytowi. Ośnieżone szczyty, iskrzące się w słońcu, rozwalone kolosalnymi masywami wśród fantastycznie poplątanych dolin, wspaniale cieniujące się żebrowania ich zboczy, uśpione zimowym snem ciche doliny, wszystko to nakryte bladym lazurem zimowego nieba — a przedewszystkiem uczucia, przepełniające w tem otoczeniu pierś ludzi uciekających od gwaru i atmosfery stłoczonych w miasto kamienic — to razem rzeczy nie dające się opisać dokładnie człowiekowi, który ich nie widział i nie przeżywał. Czuje się wtedy coś z orła i ceni się życie mimo codziennej dla niego pogardy.

Gdyśmy stanęli na szczycie Kopy Kondrackiej, doszły nas z przełęczy, dzielącej ją od Małołączniaka, wołania towarzyszy. Zaczęliśmy rychło zjazd. Nie można powiedzieć, że był on przyjemny: szeroka stosunkowo grań oblodzona była grubą szrenią, człowiekiem rzucało w szalonym pędzie po najfantastyczniejszych nierównościach, z których niejedną mieliśmy sposobność bliżej zbadać... Chwilami zdawało się, że nie mogąc opanować rozbiegających się lub też w bok gwałtownie skręcająch nart zjedziemy do doliny

Cichej, gdy nagle zasada „est modus in rebus“ wykazywała, że najlepszym sposobem zatrzymania się na tego rodzaju terenie jest upadek tak umiejętnie przygotowany, by jak najmniej był bolesny... Po kilku podobnych „przystankach“, dojechaliśmy do przełęczy. Tu czekała nas oczywiście reprymenda od „sfery miarodajnej“ — bo najwyraźniej opóźniliśmy wycieczkę! Ale nie darmo jestem historykiem, zaraz też wyjaśniłem prezesowi niewątpliwy „związek przyczynowy“ między obecnem mojem a jego poprzedniem opóźnieniem. Lecz nie czas było na dyskusje: mieliśmy spory kawał drogi przed sobą, a słońce blado dotąd, lecz dobrodusznie roześmiane, matowym blaskiem przestrzegało nas obecnie, że wnet pójdzie spać — na drugą półkulę. Przyjęliśmy z ochotą rozumny plan prezesa, aby wobec spóźnionej pory, szreniastej drogi na Krzesanicę i prawdopodobnie szreniastego z niej zjazdu, z drugiej strony wobec cudnego zjazdu do Małej Łąki, poniechać pierwotnego planu i zjechać wprost z przełęczy w dół. Obejrzeliśmy się ostatni raz na całe morze śnieżnych szczytów, na znane z lata a tak teraz odmienne, że prawie niepodobne krajobrazy tatrzańskie i zwolna po kolei pogrążaliśmy się w mroźny i ponury żleb. Zjazd był wspaniały, lubo ze względu na znaczną stromość odpowiedni tylko do jazdy łukami. Uciesznych upadków głową w śnieg w pędzie niktby nie zliczył; powodował je w znacznej mierze niepohamowany entuzjazm i chęć brawury — wszak to pierwsza wycieczka w tym sezonie! — Nagle zatrzymał nas krótki rozkaz prezesa: „Stanąć!“ Okazało się, że mamy do przebycia kilkunastometrowy stopień. Linka, zabrana przez prezesa dla celów skikiöringu z doliny Kościeliskiej, miała teraz spełniać funkcje liny asekuracyjnej przy schodzeniu. C. d. n.

JAN GADOMSKI.

Spostrzeżenia astronomiczne gołem okiem.

Konstelacja Oriona składa się z czterech jasnych gwiazd (α, β, γ, $\varkappa$), tworzących obszerny czworobok, trzech bledszych gwiazdek (ζ, ε, δ) ułożonych rzędem, tworzących „pas Oriona“, a przez lud zwanych Trzema Królami, oraz kilku bladych gwiazdek poniżej pasa, wyobrażających miecz. Gwiazda α najjaśniejsza z całego tego gwiazdozbioru, zwana Beteigeuze, jest gwiazdą zmienną, o nieregularnych, niezbadanych dotychczas zmianach jasności. Świeci ona światłem o wyraźnem czerwonawem zabarwieniu. Najnowsze badania pozwoliły poznać w przybliżeniu wymiary tego słońca-olbrzyma, które umieszczone na miejscu naszego słońca wypełniłoby przestrzeń sięgającą daleko poza ziemię, aż po orbitę Marsa.

Jasna, biała gwiazda β znana jest pod nazwą Rigel. Środkowa gwiazdka w mieczu, która w lunecie rozpada się na cztery drobne tworzące mały trapez, występuje na tle jednej z największych mgławic nieba, wspaniałej mgławicy Oriona, jednej z niewielu dostrzegalnych gołem okiem. Przedstawia się ona nam w postaci drobnej, mglistej plamki, różniącej się wybitnie od innych gwiazd.

Na lewo od Oriona, na przedłużeniu linji przeprowadzonej w myśli poprzez gwiazdy β oraz $\varkappa$, nieco poniżej, rzuca się nam w oczy najjaśniejsza gwiazda konstelacji Wielkiego Psa, ozdoba całego nieba, Syrjusz, płonący



Wygląd nieba od strony północnej w miesiącu kwietniu po zapadnięciu mroku.

jasnem białem światłem. Niezmiernie ciekawą jest rzeczą, dotychczas niewyjaśnioną, iż starożytni astronomowie (Ptolomeus) podają ją jako przykład gwiazdy wybitnie czerwonej. Również na lewo od Oriona, ponad Syrjuszem, nieco popod linją poprowadzoną poprzez gwiazdy γ, α spostrzegamy z łatwością jasną białą gwiazdę, Procyona, najjaśniejszą w gwiazdozbiorze Małego Psa. Linja poprowadzona od gwiazdy β poprzez ζ wskaże nam konstelację Bliźniąt z dwoma jasnemi gwiazdami, jaśniejszym Polluksem, oraz nieco mniej jasnym Kastorem.

Linja równoległa do pasa Oriona poprowadzona przez gwiazdę γ wskaże nam na prawo od Oriona, Aldebarana o barwie typowo czerwonej, najjaśniejszą gwiazdę konstelacji Byka. Liczna grupa drobnych gwiazdek tuż w pobliżu Aldebarana to Hyady. Przedłużenie prostej poprowadzonej od gwiazdy γ poprzez Aldebarana przecina przepiękne zbiorowisko gwiazd,



Wygląd nieba od strony południa w miesiącu kwietniu po zapadnięciu mroku.

Plejad, zwanych w Polsce Kwoczką. Gołe oko odróżnia tu siedem gwiazd bardzo blisko siebie zgrupowanych, luneta średniej siły wykazuje z górą pół tysiąca drobnych gwiazd teleskopowych, nagromadzonych na bardzo stosunkowo małym odcinku nieba, drogą fotograficzną wykrywamy ponadto mgławicę, stanowiącą jasne tło tej grupy.

W tej odległości na prawo od Plejad co Aldebaran (znajdujący się po stronie przeciwnej), znajdujemy dość jasną gwiazdę, zwaną Algol. Jest to jedna z najciekawszych gwiazd zmiennych nieba, nadająca się doskonale do obserwacji gołem okiem. W odstępach czasu — wynoszących 2 dni, 20 godzin, 49 minut — ulega ona perjodycznym zaćmieniom, trwającym około 9 godzin, powodowanym przez ciemnego satelitę, który nam ją zasłania. Blask Algola w chwili zaćmienia wynosi zaledwie jedną trzecią część jasności normalnej. Ponad Algolem, zaliczającym się do konstelacji Perseusza, widzimy jasną gwiazdę α tegoż gwiazdozbioru.

Ponad Aldebaranem na linji prostej poprowadzonej od Syrjusza poprzez α Oriona widzimy dość jasną gwiazdę β Byka, a dalsze przedłużenie tej linji wskazuje nam świetną gwiazdę w konstelacji Woźnicy, zwaną Kozą.

Tutaj przerwiemy naszą wędrówkę, aby ją podjąć innym znów razem; poznaliśmy w krótkim szkicu topografję znacznej części nieba, która będzie dla nas niezbędnym punktem wyjścia przy wszelkich obserwacjach astronomicznych. Aby ułatwić sobie wyszukanie podanych gwiazdozbiorów podajemy dwa szkice, przedstawiające wygląd „południowego" oraz „północnego nieba" w miesiącu kwietniu po zapadnięciu mroku. Strzałki wskazują kierunek obrotu sfery niebieskiej. Czasu spędzonego na obserwacjach z pewnością żałować nie będziemy, bezpośrednie oglądanie nieba sprawi nam duże zadowolenie i pozwoli myślą przenieść się w krainę spraw wielkich, zjawisk niezmiernie ciekawych, godnych myślącego człowieka.

Kalendarzyk astronomiczny na kwiecień 1922 r.

Słońce: przechodzi w ciągu miesiąca z konstelacji Ryb do gwiazdozbioru Barana. — Księżyc: ☽ Pierwsza kwadra 5-go o godzinie 7.8 — 🌕 Pełnia 11-go o godzinie 22.7 — ☾ Ostatnia kwadra 19-go o godzinie 2.9 — 🌑 Nów 27-go o godzinie 7.1.

Planety: Merkury niewidzialny. — Wenus zaczyna świecić wieczorami w zachodniej stronie horyzontu. — Mars widoczny w drugiej połowie nocy w konstelacji Wężownika. — Jowisz widoczny przez całą noc; świeci bardzo jasnym blaskiem w konstelacji Panny w pobliżu gwiazd α (Kłos) oraz γ. — Saturn świeci przez całą noc (znacznie bledszy od Jowisza) również w konstelacji Panny w pobliżu gwiazdki η.

Według „Rocznika Astronomicznego" Obserwatorjum Krakowskiego na rok 1922.

J. G.

Zaćmienie słońca 28. marca 1922.

Z dwóch zaćmień słońca przypadających w r. 1922 widoczne będzie w Polsce tylko zaćmienie obrączkowe w dniu 28 marca, widzialne u nas jako zaćmienie częściowe. Pas zaćmienia obrączkowego zacznie się w Ame-

ryce Południowej niedaleko źródeł Amazonki, przejdzie przez Brazylję, ocean Atlantycki, północną Afrykę, zakończy się w Azji niedaleko północnej części zatoki Perskiej.

W Polsce oglądać będziemy jedynie zaćmienie przez tarczę księżyca południowej części kręgu słońca, w postaci czarnej szczerby obejmującej średnio 0·3 średnicy słońca.

Poniżej podajemy (w czasie kolejowym) momenty początku, największej fazy oraz końca zaćmienia, jak również jego wielkość (tj. część średnicy słońca zasłoniętej w czasie największej fazy przez księżyc):

	Początek	Największa faza	Koniec	Wielkość
Kraków	15 h 33 m	16 h 35 m	16 h 32 m	0·33
Lwów	15 h 36 m	16 h 37 m	17 h 35 m	0·34
Łódź	15 h 35 m	16 h 33 m	17 h 27 m	0·28
Poznań	15 h 34 m	16 h 31 m	17 h 23 m	0·25
Warszawa	15 h 37 m	16 h 34 m	17 h 27 m	0·28
Wilno	15 h 43 m	16 h 32 m	17 h 20 m	0·23
Zakopane	15 h 32 m	17 h 36 m	17 h 34 m	0·35

Dane według „Rocznika Astronomicznego" Obserwatorjum Krakowskiego na rok 1922.

Z życia organizacyj krajoznawczych.

Sprawozdanie Oddziału Sandomierskiego P. T. K. za rok 1921. — Komisja popularyzacji krajoznawstwa. Kier. Al. Patkowski do września. Od września Kierownicy: Dyr. Edward Żuława i Eugenjusz Grzędzielski. Jak w roku ubiegłym tak i w sprawozdawczym Sekcja ta miała za zadanie krzewienie wśród młodzieży szkolnej idei krajoznawczej. Z jej inicjatywy powstały dwa Koła krajoznawcze: jedno im. Aleksandra Janowskiego przy gimnazjum męskiem, którego kuratorem był do września członek zarządu Aleksander Patkowski, a po jego ustąpieniu Dyr. E. Żuława, który przejął tę pracę i prowadził ją wspólnie z prof. Tomaszem Hadamem, drugie Koło im. Stanisława Witkiewicza zostało zorganizowane 9 listopada przy państwowem Seminarjum Nauczycielskiem. Kuratorem Koła z ramienia Zarządu jest prof. Eugenjusz Grzędzielski, który prowadzi je wspólnie z prof Aleksandrem Patkowskim.

Koło im. Aleksandra Janowskiego, czynne od zeszłego roku, posiada następujące Sekcje: 1) Kartograficzna, sporządziła plan miasta Sandomierza, w opracowaniu mapka okolic Sandomierza dla wycieczek. — 2) Odczytowa, miała kilka odczytów (Tatry, Śląsk, Jura Krakowska prof. Grzędzielskiego, oraz o wędrówkach ptaków Dyr. E. Żuławy), w opracowaniu tematy uczniów z historji Sandomierza. — 3) Wycieczkowa, urządzała wycieczki w Góry Pieprzowe, do Bodzechowa, Ćmielowa i Muzeum djecezjalnego w Sandomierzu. W projekcie wycieczki po zabytkach miasta i przyrodnicza po okolicy (z wiosną). — 4) Muzealna, czyni zbiory dla gabinetu przyrodniczego, szkolnego i Muzeum Ziemi Sandomierskiej. — 5) Fotograficzna, nieczynna, zamierza rozpocząć czynności w roku 1922. Przewodniczącym Koła jest Piotr Podsiadły, Sekretarzem Józef Czubiński.

Koło im. Stanisława Witkiewicza, zorganizowane 9 listopada 1921 r. Koło odbyło 3 zebrania plenarne i 2 Zarządu. Liczy 70 członków. — Przewodniczącą Koła jest Marja Sobolówna, sekretarzem Antoni Kubicki. Zorganizowano sekcje: kartograficzną, wycieczkową, fotograficzną i muzealną. Wobec późnego zorganizowania się prace Koła mają na razie charakter organizacyjny.

Sprawozdanie Dyrekcji państw. gimn. realn. w Białej za rok szk. 1920/21. Kółko krajoznawcze. Pod opieką prof. Fr. Kleczara zawiązało się w marcu 1920 r „Kółko krajoznawcze", do którego należeli uczniowie kl. IV.—VII. Prezesem Kółka był Ludwik Jekiełek, sekretarzem Wł. Szałkiewicz, uczniowie klasy VII. Członkowie Kółka, w liczbie 68, płacili miesięcznie po 5 Mkp. tytułem wkładek, z których zaku-

piono 42 książki treści przyrodniczej i geograficznej, a ponadto przybory wycieczkowe. W Kółku pracowały głównie dwie sekcje: przyrodnicza i ludoznawcza. Sekcja przyrodnicza zebrała 60 okazów motyli i owadów, większą ilość minerałów i roślin, które ofiarowała do zbiorów gimnazjum. Kółko odbyło 5 wycieczek krajoznawczych, przyczem poznano grupę gór Gromnik, Magórkę i dolinę Soły. W sekcjach pracowali najwięcej uczniowie: Ferens, Jekiełek, Kaszper, Szałkiewicz, Szołdra i Talar.

Sprawozdanie z kursu dla kierowników Kół Centralnego Związku Młodzieży Wiejskiej.

W czasie 12—19 lutego b. r. odbył sie w Warszawie siedmiodniowy kurs dla kierowników Kół i członków Zarządów, zorganizowany przez Centralny Związek Młodzieży Wiejskiej. Przybyło 16 słuchaczek i słuchaczy z różnych okolic Polski. Większość z nich otrzymała zapomogi z kasy Koła lub od władz samorządowych. Świadczy to o dużem wyrobieniu organizacyjnem poszczególnych Kół, a także o coraz wydatniejszem poparciu prac młodzieży przez starsze społeczeństwo. Kurs miał charakter organizacyjno-oświatowy. Pogadanki odbyły się w rannych godzinach w gmachu Y. M. C. A. odstąpionym, jak zawsze, przez życzliwych gospodarzy z całą gościnnością, zaś w godzinach popołudniowych w lokalu Centrali.

W wolnych od wykładów chwilach słuchacze zwiedzili zabytki Warszawy, byli na posiedzeniu Sejmu, udali się kilkakrotnie do teatrów. Wygłoszono też wzorową pogadankę z przeźroczami, urządzono dwa zebrania dyskusyjne. Kurs zakończył się wspólną wieczornicą towarzyską, która zgromadziła przeszło sto osób, a ochocze i raźne tańce przeciągnęły się do rana. W czasie tej zabawy zetknęła się młodzież wiejska, przybyła na kursa, z młodzieżą uczącą się w Warszawie; nawiązała się między nią szczera rozmowa, zbliżyła serca i dusze, odnalazły wspólne ukochania i pragnienia. Jedni zwierzali się ze swych prac i trudności, drudzy dzielili po bratersku zdobytą w murach szkolnych wiedzą i doświadczeniem. I powiała na te młode szeregi jakaś siła i moc żywotna, zalśniły wiarą oczy, wzmogła radością i otuchą pierś. Na wieczornicy był między innymi obecny p. Aleksander Janowski, szef Wydziału Oświaty Pozaszkolnej M. W. R. i O. P., który stale prace Związku Młodzieży Wiejskiej otacza troskliwą opieką i udziela jej pomocy.

Rzeczowe a barwne wykłady, estetyczny i artystyczny wygląd gmachu YMCA., wreszcie umiejętne rozłożenie planu, wszystko to przyczyniło się do wytworzenia na kursie pogodnego i wesołego nastroju, serdecznego zżycia, to też każdy z uczestników opuszczał Warszawę zachęcony do dalszej pracy, związany silnie z dążeniami Centrali.

Oby takich kursów było coraz więcej, a napewno w prędkim czasie zniknąłby ze wsi polskiej ten duch ciemnoty, ta pleśń obojętności i egoizmu, a rozgorzałby coraz potężniej w piersiach młodego pokolenia płomień ofiarności społecznej.

Redaktor: Leopold Węgrzynowicz. Nakładem P. T. K. w Warszawie.

Drukarnia Nakładowa w Krakowie.